

Rozdział 1

Słońce piekło go w kark, dym zatykał płuca. Nogi, obciążone kajdanami bólu, ledwo posuwały się naprzód. Zdecydowanie przyjemniej by mu się tak stąpało, gdyby hordy ludzi, wypełniający ulicę, przestali zgniatać jego tułowie i nieco się rozstąpili, albo najlepiej wogóle zniknęli.

Ulica, utworzona z oddalonych od siebie chałup, nieregularnie porozrzucanych strzech, które pękały od starości i oczywście ludzi, grzmiała potokiem słów, wrzasków i szlochów, który wyrażał jedno: cierpienie.

Dla Neila nie było ono już niczym wyjątkowym. Przywykł do niego.

Chodź, Tatrachu. - oznajmił, odwracając się w kierunku czworonoga, wlokącego się za śladami jego ciężkich butów. - Świątynia jest już niedaleko.

Ale dotrzemy do niej pewnie jutro rano, jeśli ten tłum się nie zmniejszy. pomyślał, walcząc o oddech, ściśnięty pomiędzy grupką biedaków, od których rozchodził się mdlący odór.

Czuł piekący ból na karku.

Słońce stało nieruchome na samym szczycie nieboskłonu, przypalając tłumy ludzi, jakby byli kurczakami na rożnie. Promienie zalewające miasto niosły ze sobą raka, trond, odwodnienie, opalenizny skwierczące ropą i choroby psychiczne.

Neil, na myśl o tych okropieństwach, spróbował sobie przypomnieć dawny chłód Świątyni, który niegdyś owiewał jego suchą skórę i napełniał płuca powietrzem, pozbawionym pyłu, dymu, potu, oraz wielu innych, gorszych rzeczy. To wspomnienie przywiodło inne skojarzenia, jednak odgonił je natychmiast, koncentrując się chłodzie. Niestety, rodzice obdarzyli go słabą wyobraźnią i chwilę później wspomnienie zniknęło, zastąpione żarem. I wrzaskami, wydobywającymi się z jego umysłu. Wrzaskami, które od lat starał się uciszyć.

Tatrach dreptał już w jego chodzie, sapiąc tak głośno, że nawet w obliczu setek ryków i dyskusji, Neil słyszał go całkiem wyraźnie. I zastanawiał się, z jakiego powodu zwierzę zdolne przebyć pustynię bez choćby chwili na głębszy oddech, ciągnie się za nim jak umierający pies.

Postanowił zejść w zagłębienie szerokiej ulicy, zagracone straganami i przykryte podłużnymi dachami, wykonanymi z drewnianych gałązek, tak suchych, że sprawiały one wrażenie piasku, w jakiś sposób osadzonego na wietrze. Na szczęście ten piasek rzucał cień - zimny, pozbawiony oślepiającego sztyletu słońca.

Tam, wraz z Tatrachem, przystanął. Zwierzę spojrzało na niego wzrokiem, który wzbudził w nim empatię. Neil przeczuwał, że w tych oczach kryje się coś więcej. Ale nie miał pojęcia, co dokładnie. I to go martwiło.

Uklęknął nad nim i pogładził jego białe, spowite kurzem futro. Triatich dyszał, szybko, jakby jego płuca, zamiast przyjmować powietrze (czymkolwiek ono było) machinalnie je wypuszczały, byle dalej, w głąb

zbitej gromady tłumu.

Co się z tobą dzieje? Świątynia tak na ciebie działa...?

Usiadł na ziemi, która wydała mu się dziwnie gorąca.

Zdjął z ramienia torbę, którą taszczył przez całe dnie, przemierzając Skalne Lasy. Otworzył ją i zaczął szperać w jej wnętrzu, poszukując nadajnika.

Wyczuł dłońmi metalową powierzchnię. Wyjął przedmiot. Kwadratowy kawałek metalu z wystającym u góry prętem, zakończonym niebieską, migającą diodą.

Obracając go między palcami, dostrzegł coś niepokojącego.

Jego uwagę przykuł błysk diody. Pozornie zwyczajny, lecz, tak jak we wzroku Triaticha, w owym błysku również jaśniało coś na kształt obawy. Może wysyłało mu alarm? Może ostrzegało go przed zbliżającym się wrogiem?

Przecież to nie miałoby sensu. pomyślał Neil. Panowie Wiatru zaatakowali wczoraj i ruszyli daleko na północ. Rano pewnie byli już w Altar. Po co mieliby wracać?

Wiązka światła, jaka wraz z wydechami Traticha eksplodowała, zamknięta w szklanej kuli u szczytu wygiętego drutu. Biały kolor, znacznie czystszy niż fala słonecznego blasku, opadająca na szeroką ulicę, mieszał się z błękitną barwą, którą zazwyczaj wypełniała kulę. Co kilka mignięć błysk zmieniał się w czerwony, niczym rozjaśniona płomykiem krew.

Neil jeszcze raz obrócił się w kierunku Triaticha. Czy zwierzę w jakiś sposób łączyło się z nadajnikiem?

Wiedział jedno: Jeśli Tratich zdradza oznaki lęku i nadajnik szwankuje, to oznacza, że muszą się pośpieszyć. Ktoś wie. Ktoś ich odszukał, mimo Tłumienia, jakim emanował Triatich. Ktoś czai się, ktoś obserwuje ich wyostrzonym, skupionym, pełnym zabójczego sprytu wzrokiem.

Spróbował odnaleźć w odmętach pamięci, kiedy ostatni raz nadajnik uległ uszkodzeniu. I zawiódł się.

Ponownie umieścił go w schowku swojego plecaka. Szczelnie go zapiął i założył na plecy, zmęczone bólem.

Musimy iść, przyjacielu. - rzekł, a lodowaty ton jego głosu sprawił, że tutejszy skwar ochłodził się odrobinę. - Ktoś nas dostrzegł.

Triatich wlepił w niego oczy. Zrozumiał. Choć Neil trochę w to wątpił. Zwierzę z pewnością tylko częściowo rozumiało zarys sytuacji, w jakiej się znaleźli. Zaś większość jego twarzy pokrywało czyste przerażenie.

Ruszyli w głąb tłumu.

Miasto Wysokich Traw, osadzone pośród Skalnych Gór, spowite pyłem i osmalone żarem, warowało pośród setek kilometrów pustki i zdawało się drzeć.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

PrzemeK155J, dodano 03.09.2019 08:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.